

JUSTYNA OCIEPA

PLINIANA

OD UCZTY NERONA PO WYBUCH WEZUWIUSZA...
PLINIUSZ STARSZY PRAGNAŁ OPISAĆ ŚWIAT,
A JEGO SKRYBA FELIKS - BY ŚWIAT CHOĆ RAZ DAŁ MU SPOKÓJ



LIRA
WYDAWNICTWO

PLINIANA

JUSTYNA OCIEPA

PLINIANA

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68577-68-6

*[...] Ten filozofuje, chociaż nie ma tuniki,
ów, chociaż nie ma książki, inny — będąc półnagi.
Nie mam co jeść — mówią — a trwam przy zasadzie.
A ja nie mam pokarmu z nauki, a trwam.*

Marek Aureliusz, Rozmyślenia

I

Lepszego fałszerza nie znajdziesz, ale żeby go odwiedzić, musisz wykazać się odwagą. Feliks mieszka przy Wołowym Rynku, na szczytowym piętrze podupadłej insuli. Ruina niczym pęczniejąca huba wciska się między warsztaty i magazyny, z których dochodzi monotony stukot. Z tanich pieców kopci się dym, przebija przez okna i szpary, chlasta plamami brązu i żółci. Cokolwiek by liznął, barwi wszystko depresyjną sepią.

Najgorzej przy wejściu. Roi się tu od cyników, którzy tylko czekają, żeby cię opluć lub obsikać. Na portyku wisi klatka z ptaszyskiem, które przeklina we wszystkich językach Imperium. Z przysmolonych okien w akompaniamencie wrzasków wyleci amfora lub kielich. Rozbije się z hukiem na bruku. Trzeba uważać na pijanych woźniców. Najlepiej przemknąć w pośpiechu, rozświetlając drogę niewielką pakułą.

Feliks — brzydki, garbaty, z palcami jak sęki — mieszka tu od lat i od lat fałszuje: przepisuje zwoje, zmyśla światy i bogów, kompiluje prastare historie. Nie bój się, zastukaj. Przyczłapie do drzwi z obgryzionym stylusem. Zaszura berberyjskim bamboszem. Jego stara, splamiona atramentem tunika zabłyśnie paskiem ze znakami zodiaku.

Na pewno z ciebie nie zedrże. Mimo ubóstwa nie jest łasy na majątek. Nie zada też wielu pytań. Wystarczy mu jedno przelotne spojrzenie, żeby się dowiedzieć, czy chodzi o poprawienie testamentu, czy może o zemstę i uroki.

— *Tabella defixionis*, co? — rzuci beznamiętnie — No wejdz, wejdz... zapraszam. Tylko się nie wystrasz bałaganu!

Usiądź. Popatrz, jak sprawnie rozwija ołowiany arkusz. Powiedz mi dokładnie, kogo nienawidzisz, komu życzysz bólu i udręki. Klątwy w jego wydaniu są nie tylko bardzo skuteczne, ale i opracowane zawodowo, po mistrzowsku, z literami rytymi do góry nogami lub — w zależności od zamówienia — przetasowanymi w osobliwych kombinacjach. Zawierają też rysunki odnoszące się do najważniejszych części ciała, czyli penisów i pośladków.

W trakcie grawerowania powie:

— Zaklinam cię, taki i owaki, na ogon węża i szczurze łapy! Co uczyniłeś złego, niech do ciebie wróci! — Potem zaś doda od niechcenia, z rutyną profesjonalisty: — Tak jak ołów jest zimny i bezużyteczny, tak i ty stań się zimny i do niczego! Niech pokona cię sen, sen wieczny!

Skończony arkusz zroluje i owinie gwoździem, na którym zawczasu wyskrobie imię i nazwisko adresata. Dzięki temu, że jest skrupulatny, nie dojdzie do pomyłki. Tobie pozostanie tylko wrzucenie zwoju do studni lub zakopanie go w ziemi. Są tacy, co zaszywają go w kocim brzuchu.

Feliks specjalizuje się w klątwach prawnych, kiedy ucieka się do wyświechtanej formułki: *Niech ci pypeć wyskoczy na języku, zanim powiesz coś przeciwko mnie w sądzie!* Doprowadził do maestrii klątwy, powiedzmy, pospolite i ogólnoludzkie, gdy życzymy drugiemu, aby stara mulica wybiła mu ostatni ząb lub żeby wyskoczył bliźniemu wrzód na środku tyłka. Jakkolwiek by spojrzeć

na rachuby i statystyki, najczęściej sporządza kłątwy miłosne. Pisze wtedy profesjonalnie, beznamiętnie teksty bluźnierczych inkantacji, na przykład: *Niech cię penis boli, gdy uprawiasz miłość*. Albo: *Ty taka i owaka, nie będziesz mieć przyjemności z żadnym mężczyzną. Ani z przodu, ani z tyłu! Chyba że ze mną!*

Z równie zawodową apatią graweruje kłątwy w ołowiu, jak i dla biedoty — w brzozonej korze. Te ostatnie oferuje niemal za półdarmo, w cenie od trzech do czterech asów, bez rysunków, z kołkiem zamiast gwoźdźcia.

Gdyby go zapytać, czy wierzy w moc słowa, pewnie by się zachnął. On, niemal uczony, erudyta, znający imiona filozofów, tajemnice odległych lądów i ludów, milczałby jak grób. Podobnie milczałby, gdyby go nagabnął, czy to przeznaczenie nami włada, czy też kosmiczny odprysk, który spadając z nieba, powoduje taki, a nie inny bieg zdarzeń. Ale gdyby zadać mu pytanie, dlaczego to robi, skoro nie czerpie wielkich zysków, powiedziałby wprost, bez wahania, że lubi pomagać i nie znosi cierpienia.

Wołano na niego Feliks Canis. Feliks dla gorzkiego żartu, a Canis pewnie dlatego, że pojawił się w czasie stężenia Syriusza, tuż po Wielkim Pożarze, zarazie i trzęsieniu ziemi. Błąkał się po śmietniku, potem po gruzach jałdodajni, aż nieopodal Świątyni Pecha na Eskwilinie znalazł w skorupie po glinianej stągwi resztkę pitnej wody. Wychleptał ją łapczywie, jakby miała mu być ostatnią. Trochę pozłorzeczył, nieco popłakał. Wreszcie, przytłoczony trwogą, zasnął przy kamieniu bogów. Nad ranem znalazła go tam Hilaria, kobieta bogobojna i dobra. Jako

że chłopiec był tylko lekko okopcony, nie miał strupów po zarazie i nie był chromy, zabrała go ze sobą, do domu Pliniusza.

— Panie! Niech z nami zostanie! Spał przytulony do kamienia bogów! Kaprawy nie jest! Zęby silne jak u wołu! — trajkotała i przechodząc od chichotów i euforii po zwątpienie i załamywanie rąk, pytała: — Tylko jak chować dziecko, o którym nic nie wiadomo?

Pliniusz nie miał potomka, bo nie był okrutny. Nie miał nawet żony. Ale jak zawsze miał odpowiedź na wszystko:

— O żadnym nic nie wiadomo, dopóki nie stanie się człowiekiem — palnął.

Siorbnął osłego mleka i patrząc, jak dziecię pochłonęło miskę soczewicy i wyciągało paluchy po pieczone żółdzie, wymamrotał pod nosem, do siebie tylko i skryby:

— Co za nienasycona żarłoczność. Bachor puści mnie z torbami.

Tymczasem znajda szeptała płaczkliwie:

— Jeszcze, jeszcze.

Tak że Hilaria w pośpiechu podała i jaja, i rybę.

Dziecię zjadło, popiło, beknęło i zasnęło snem błogim. Jak pies umęczony ruszało mimowolnie członkami i poświsztywało przez nos.

— Czy sprawdziłaś obrozę? — spytał Pliniusz. — Może jednak do kogoś należy.

— To nie obroża, panie — wyjaśniła stara. — To amulet; *crepundia* z bursztynu, pies lub wilk.

Pliniusz machnął ręką, skinął na skrybę Stefanusa, który hamował gałganem kolejny krwotok, po czym ściszone głosem zaczął dyktować:

— Człowiek żyje tylko w połowie, bo połowę życia przesypia, a sen można porównać do śmierci. Dzieciństwo to czas bez rozumu, tak jak starość z jej chorobami i otępieniem. Życ to być przebudzonym... to czuć.

Hilaria, przyzwyczajona do dziwactw i kocopołów, nawet nie słuchała. Okryła znajdę derką i jak to kobieta, patrzyła na nią miłościwie, dziękując wyroczni za wstawiennictwo, a bogom wysokim za opiekę.

Trudno stwierdzić, czy Pliniusz Feliksa polubił. Bywało, że wydany na pastwę lęków i melancholii, nie miał głowy nawet do pisania. Smutek, ciężki jak burzowa chmura i głęboki jak czeluść, odbierał swadę myślom, brawurę słowom, spowalniał mu ruchy; na całe tygodnie zamykał go w ciemnym pokoju o niskim sklepieniu i splekanych membranach. Leżał tam bez życia, nasłuchując chrobotać karalucha, tupotu myszy i koszarnej galopady splekanych majaków. Stary Maniusz przychodził pod wieczór, rozbierał go i jak kukielkę wkładał do cycowatej rury. Napęśniał ją wodą z solami litu. Pliniusz godzinami dryfował bez słowa. Gdy mu się poprawiało, bąkał coś w tym stylu:

— Rozum goni mnie w piętę.

— Mogło być gorzej, mój panie.

— Czy może być co gorszego?

— Mógłby przecie nie gonić zupełnie. — Stary wlewał mu w usta tłuste ośle mleko. — Masz, pij. Poprawi ci się.

Poprawiało się. Zawsze. I zawsze tak, jakby smutek został wymazany z pamięci. W Pliniusza wstępowały zapal i energia, odwaga i optymizm. Może dzięki temu nauczył Feliksa czytać i pisać, a nawet rachować na abakusie.

Wyjaśnił zaćmienia słońca, ruchy wód dyktowane siłą Księżyca oraz pitagorejską muzykę planet.

W upalną noc, gdy skryba Stefanus tak zmęczył się pisaniem, że leżał w trawie bez życia, Pliniusz wskazywał na niebo i wyjaśniał:

— Widzisz, mój mały, nie jest tak, że jasne gwiazdy świecą dla bogatych, lichsze dla biednych, a ciemne dla ułomnych.

— Świecą dla wszystkich?

— Żebyś wiedział. Świecą dla wszystkich. — Pliniusz patrzył w radosne oczy chłopca i precyzował: — Dla wszystkich z równym okrucieństwem i obojętnością. Nie ma tam żadnych bogów.

— Jak to? — Feliks był zdruzgotany. — A moja Psia Gwiazda?

— Taka ona twoja jak każda inna. Zimna, nieczuła. Bez bogów. I bez psów, na pewno. Gdy Syriusz tężeje, nastaje skwar i susza. I wtedy psy, te jedyne, czyli ziemskie, szczekają nocami jak szalone i jakoś bardziej piskliwie. Za dnia niebo zaczyna się pocić i na ziemię spada miód. Niektórzy mówią, że to pszczoły nim rzygają, ale to nieprawda: on spada jak mgiełka lub letni deszcz.

Pliniusz uwielbiał wykłady o naturze, ale nigdy się w nich nie zatracił: nie podnosił głosu, nie gestykułował, chyba że po to, by odgonić komara lub ułożyć tunikę. Jego słowa płynęły spokojnie jak strumień. Feliks odzywał się z rzadka, za to często wybuchał nieszczerym, wymuszonym śmiechem. Donośny rechot odbijał się od ścian perystylu i niósł w odległe, nieczułe przestrzenie.

Najwięcej czasu spędzał z Hilarią lub z siostrzeńcem Pliniusza, który mieszkał z matką w zachodniej części domostwa. Gajusz, chłopiec o chudych łydkach, był nieco kapryśny, choć ciekawy świata. Okazywał się doskonałym towarzyszem zabaw. Ścigali się razem na miotłach, zatruli mleko bebechami ośmiornicy i dryfując na odwróconych parasolach, z liśćmi łopianu zamiast żagli, pływali po niewielkim stawie. Ku rozpaczcy ogrodnika Maniusza nurkowali także między ławicami; mącili muł, odbijali się od dna i wytryskiwali ku światłu, trzymając w dłoniach oklapłe wodorosty lub kłapiącego pyskiem, srebrzącego się karpia. Niszczyli dekoracyjne nenufary. Niekiedy upijali się winem lub wykradali na miasto: wdrapywali się na skarpę i patrzyli na płynące po Tybrze wielkie galery o buńczucznych szyjach i na maleńkie, zwinne liburny, ciągnące z Ostii oliwę i zboże.

Próbowali także zapasów. Niestety delikatny Gajusz nie miał w potyczkach przewagi; wszystko kończyło się płaczem. Zadąsany, zaklinał się na Jowisza, że nie poda Feliksowi ręki. A potem go prowokował:

— Chodź tu, plaskata figo!

Gonił go, a gdy dopadał, zwyczajem piastunek wtykał mu w nozdrza swoje chude palce; pociągał najmocniej, bez litości, tak by nadać nosowi pożądany, rzymski profil.

Pewnego razu, gdy się szamotali, Feliks zerwał z Gajusza złotą bullę, która do czasu przejścia w dorosłość miała go chronić przed złem i lemurami. Chudzielec znieruchomiał, potem się rozpłakał, po czym pobiegł do wuja do biblioteki. Pliniusz, zbyt zajęty sprawami wielkiej wagi,

aby się przejąć drobnostką, wymamrotał coś o bachorach, obejrzał zerwaną bullę i powiedział:

— Nie płacz. Byłoby gorzej, gdyby urwało ci szyję. Stefanusie — zwrócił się do skryby — jakże się nazywa wielka żyła? *Vena jugularis* czy...? — Widząc, że Gajusz płacze jeszcze bardziej, a u nosa dynda mu ohydna, zielonkawa kapka, skrzywił się z obrzydzeniem i dodał: — Fuj. Idź już stąd. Idź z tym do matki.

Plinia Marcella zemdlła. Kiedy doszła do siebie, złożyła ofiarę larom i penatom, zapaliła kadzidło, zmówiła modlitwę, a potem, przeklinając Feliksa, wybiegła do ogrodu ze służącą Spurią, aby wśród grządek i rabatek szukać werweny i kwiatów cyklamenu. Co znalazły, wyrwały z ziemi, całowały na klęczkach i podrzucały w niebo. Odwracały groźbę nieszczęść.

Tymczasem Feliks siedział przy basenie, moczył pięty i patrząc na mozaikę ukazującą dziki i bażanty, zastanawiał się, czy na obiad znowu będzie kasza. Czuł w żołądku rozpierającą otchłai. Miał się już podnieść, gdy zobaczył upiorną twarz Erasmusa. Był to pedagog, przy tym amator odmładzających maseczek, pstrokatych płaszczy i jedwabnych lędźwiowych opasek. Nikt go nie szanował ani nie traktował poważnie. Pewnie dlatego zbyt dosłownie podchodził do rozkazów.

— Musisz znać miejsce w szeregu, Feliksie — powiedział z emfazą, jakby cytował Plinię Marcellę. — Chodź, należą ci się razy!

Feliks wzruszył ramionami i zapytał obojętnie:

— Niby za co?

— Za zerwanie bulli.

— Nie zrobiłem tego specjalnie. Co to?
— Pas, głupcze. Skórzany!
— Widzę, że nie wieniec z lauru. Ale niby... po co? —
Feliks niespiesznie się podniósł, po czym dał susa i zaczął
uciekać na oślep.

— Ty łajzo. — Erasmus ścigał go jak w zwidzie. Potykał
się i upadał, i z determinacją podnosił. Ślizgał się w zło-
tych kapciach i zaganiał w róg atrium. — Od lat czuwam
nad wychowaniem Gajusza. Jeśli nie poniesiesz kary, to...

— Przecież mówię! Nie zrobiłem tego specjalnie.
— Jesteś niewolnikiem! Gajusz jest twoim panem!
Chodźże tu... Bo nie zdzierzę!

— Nieprawda! Taki smark?! Pliniusz jest moim panem!
Erasmus dopadł chłopca ukrytego za koryncką wagą,
po czym przyszpilił do ściany jak komara:

— Ja ci dam smarka!
Najpierw dzielił go w twarz, a potem zbił mocno pa-
sem. Feliks nie miał nawet czasu zapłakać. Zaczął krwawić
i szybko stracił przytomność.

Ból minął, jak mija wszystko. Feliks byłby o zajściu zapo-
mniał, jednak po pewnym czasie, kiedy Gajusza zaczęło
dotykać nieszczęście za nieszczęściem, dopadło go nie-
opisanie, straszliwe poczucie winy.

Tuż po majowym Świącie Fortuny, żeby wyrobić mię-
śnie w chudych łydkach, żeby oddać hołd ekwickiej tra-
dycji oraz, co podkreślał Pliniusz, żeby nie skończyć jak
ciamajda, Gajusz zaczął się uczyć jeździectwa. Niestety,
w czasie lekcji tak niefortunnie złapał za napierśnik, że
spłoszył konia i zwichnął rękę. Rekonwalescencja ciągnęła

się tygodniami. Ledwo odzyskał czucie w palcach, a zapadł na przedziwną chorobę: zaczął cierpieć w obliczu jasności. Ukojenie znajdował tylko w mroku, w szarżynie, w półcieniu. Zupełnie, jakby okrutny los, pozabiając go blasku i skazując na ciemność, gotował mu połowiczność i nierzymskie kalectwo. Obawiano się, że oślepie. Nie skąpiąc sestercji, Plinia Marcella zasięgnęła rady najlepszych lekarzy i za ich namową obwiązała Gajuszowi szyję łańcuszkiem z dwiema greckimi literami Alpha i Rho. Kazała mu też nosić przy sobie białe zawiątko z zamkniętą w środku bzyzczącą muchą. Trochę pomogło. Niestety, ból, nachalny i świerzbący, wracał wiosną i latem. Od kwietnia do września, odgradzony od świata ciężkimi zasłonami jak zamknięta w skorupie ostryga, Gajusz pędził czas na marginesie życia, w najciemniejszych kątach i izbach. Jako że para łągodziła świad, zażywał gorących kąpeli. Jadł tłuste kury opalane polanami germańskich świerków.

Feliks nie mógł sobie tego wybaczyć. Obwiniął się za zerwanie bulli i za wszelkie zło. Co gorsza, wszędzie dopatrywał się zapowiedzi kolejnych nieszczęść.

Gajusz już nigdy nie podał mu ręki. Ich światy, choć zbieżne, rozchodziły się jak bruzdy na wnętrzu dłoni. Rośli razem, lecz osobno. Panicz pod okiem Kwintyliana z Hiszpanii uczył się retoryki, gramatyki i poezji, resztę mądrości wpajał mu zaś Nicetes ze Smyrny. Feliks natomiast, pod okiem zrzedliwego Stefanusa nie wiadomo skąd, nie uczył się już niczego: ćwiczył kaligrafię. Kopiował zwoje, stawiając litery chropowatym, topornym stylusem. Pakował je w równe kolumny, od

lewej do prawej, bez odstępów. Gdy zrobił błąd, tarł go gąbką zanurzoną w occie. Jeśli nie pomagało, zaczynał wszystko od nowa, tylko po to, by dostać razy za niszczenie materiałów.

Stefanus był mroczny i dziwny. Prędzej wydrapałby oczy, niż pozwolił odciągnąć małego od pisanin. Biegał za Maniuszem i krzyczał, gdy ten pokazywał chłopcu kwiaty i nory przy sadzawce. Wyciągał go siłą od Hilarii, kiedy uczyła wędzenia kiełbas i moczenia flaków. Zakradał się do stajni i obory, gdzie Feliks, wyprostowany w obliczu mułów i oślic, wykladał tajemnice morskich płytów i planet. Węszył, niuchał i był wszędzie tam, gdzie gówniarz mógłby cieszyć się pozorem życia. Gdy Feliks miał dostać lanie za kradzież solonego śledzia, wstawił się za nim u Plinii, po czym przyciągnął do biblioteki i jakby walczył o monopol na bezdusność, sam sprzął na kwaśne jabłko. Niekiedy bił go tak mocno, że mały dostawał torsji i zanim stracił przytomność, spaskudził najlepszy papirus.

Feliks żył od kolumny do kolumny, od błędu do błędu. Od kuksańców po brutalną chłostę. W napięciu i bolesnym pochyleniu, ze zrogowaciałymi palcami zakrzywiającymi się przy piórze jak szpony. Najpierw gryzmołił najtańszym atramentem, zrobionym z gumy i sadzy, później pisał czerwonym. Jedyne, na co czekał, to by okrutnik wtajemniczył go w sztukę pisania złotym piaskiem. Czekał, ćwiczył i wsiąkał w monotonię niczym tkacz nieskończenie długich, bardzo cennych dywanów.

Kiedyś w przypiływie nieopisanego znużenia zapytał:
— Po co to wszystko?

Stefanus długo milczał.

— Chodzi ci o pisanie? — Odłożył stylus, podrapał się po rudej brodzie i wyjaśnił: — Pliniusz trudzi się dla chwały, a ty z braku wyjścia. Jesteś tylko skrybą.

— Czyli kim?

— Czyli piśmiennym idiotą: jesteś za głupi na filozofa, a za mądry do dźwigania gnoju. — Zaśmiał się gorzko i ciągnął: — Natura nie zna pomyłek. Każde stworzenie wyposaża w zdolności, które pozwalają mu wypełnić los. Żuk gnojowy ma odnóża do toczenia kulek. Pliniusz geniusz do myślenia i analizowania. A ty silne, jednak smukłe łapska do trzymania rylca i tabliczki. I tyle.

Feliks nie pojmował, co tu jest żartem.

— Jak długo jeszcze będę musiał pisać?

— Do usranej śmierci. — Stefanus znowu się zaśmiał, sardonicznie, z trzewi. — Co się tak boczysz? Przy wielkim szczęściu zginiessz w pożarze kosmosu, ogień zniszczy wszystko, ale potem narodzisz się znowu i będziesz robić dokładnie to samo. W tym samym miejscu. Tym samym rylcem lub piórem i czy chcesz, czy nie, ze mną! — Ściszył głos, jakby recytował stare, magiczne wersety. — Świat to wciąż na nowo odgrywany spektakl, za każdym razem identyczny jak poprzedni.

— Pożar kosmosu? — Feliks nie dowierzał. — Kto to wymyślił?

Stefanus zadarł tunikę i wskazał na cherlawe piersi.

— Widzisz mój tatuaż? — spytał.

— Widzę, wąż zjada własny ogon. I co to ma do pożaru?

— To Uroboros, symbol wiecznego powrotu. Koniec jest i początkiem.

— To symbol wiecznego więzienia. Jeśli miałbym robić w kółko to samo, wolę wiecznie uciekać.

Uciekał więc. Błąkał się bez celu, a potem, łapany przez różne ciemne typy lub przezornych sąsiadów, wracał na Eskwilin. Stawał przed srogim obliczem Plinii Marcelli i znowu dostawał baty. I tak w koło Macieju.

Pliniusz pewnie nic o tym nie wiedział. Od dawna pozwalał siostrze na krwawe samowładztwo, on zaś skupiał się na walce z przygnębieniem, które było nadzwyczaj wstydlive, bo zupełnie nierzymskie. Feliks najczęściej znajdował go w ogrodzie, macającego pustkę, świdrującego przestrzeń, patrzącego przed siebie oczami bez wyrazu. Niemłody już, a jeszcze nie stary, miał tak zgnębiłą twarz, jakby poorał ją Saturn. Obojętny na wszelką obecność, nie odpowiadał na słowa. Jeśli miał lepszy nastrój, co zdarzało się rzadko, dyktował w bibliotece. Siedział wtedy spokojnie na chybotliwym zydlu, wśród cedrowych stelaży, otoczony wianuszkami białawych kur i żółtawych piskląt. Oklapłe i senne, słuchały ludzkiej mowy i drzemały nieporuszone, jak puchate kule mandaryńskiej bawelny.

Niekiedy, w przerwach od pracy, dawał się namówić i opowiadał niestworzone historie. Tak było w zimie, tuż po Saturnaliach:

— W górzystych częściach Indii spotkać można paskudnego, kosmatego satyra — zaczął głębokim, ściszym głosem. — Czasem chodzi na czterech nogach, a czasem, jeśli tylko ma kaprys, to zupełnie jak człowiek, wyprostowany. Ma też ludzkie rysy.

— Kropka w kropkę Stefanus — wtrącił Feliks z szelmowskim uśmiechem.

Skryba się obruszył. Zmierzył brodę, w której harcowały wszy, i nie odrywając wzroku od rozwlekłych zapisków, powiedział posępnie:

— Kocioł garnkowi przygania, a sam smoli.

Pliniusz, jakby nie słyszał, dmuchnął na mleko, siorbnął i sprostował bez emocji:

— Niezupełnie jak Stefanus, bo ten paskudny satyr jest tak zwinny, że jeszcze nigdy go nie schwytano. W Indiach żyją też nomadzi — ciągnął po krótkiej przerwie. — Zamiast nozdrzy mają wielkie otwory. Chodzą na stopach tak sprężystych jak węże. A bliżej Gangesu, wielkiej rzeki, żyje naród Astomi, ludzi bez ust.

Feliks rozdziawił gębę.

— A jak jedzą?

— Jedzą tylko powietrze, które połykają nosami. Obywają się bez potraw i napojów. Zbierają korzenie i kwiaty lub dzikie jabłka i wachają je, by żyć.

— By żyć!? Bez kiszki, bez flaczków... — Feliks nie był przekonany. — W co oni wierzą?

— Jak to ludzie, wierzą w różnych bogów. — Pliniusz uniósł dłoń i zgarnął z nosa gęsty mleczny kożuch. — W jakich tam sobie wymyślą.

Feliks tak się przechylił na zydlu, że potracił jaspisowy kałamarz. Ciemna strużka atramentu pociekła obok drzemiącej kwoki.

— Wymyślają ich? — Szurał bosą stopą; chciał zatrzeć ślad zbrodni. — Po co?